

Jeszcze raz tamte gorące dni!

Gdańsk, 1 września 2001, wspomnienia!



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Rok 1980, sierpień, był, jest na Wybrzeżu, jak i w całej Polsce – pamiętny. Właśnie minęła kolejna, już 21. rocznica tego Wielkiego Sierpnia. To był ten moment, który zmienił nasze losy, jak i odwrócił bieg historii. Pokolenie, które przeżyło ten czas na Politechnice Gdańskiej, powoli odchodzi, a dla młodych to już jedynie nudna przeszłość. Jest jednak jeszcze parę osób, które żywo pamiętają te czasy, i właśnie im chciałbym przypomnieć i odświeżyć atmosferę tamtych dni. A młodym też warto pokazać, jak wówczas było. Gdy grzebałem w szpargach z okazji remontu domu, wpadł mi do rąk artykuł, który napisałem w pierwszą rocznicę wydarzeń sierpniowych, i który ukazał się w „Głosie Nauczycielskim” we wrześniu 1981 roku. Warto go chyba zacytować ponownie, prawie bez skrótów. Szczególnie teraz, gdy tamte wielkie nadzieje bledną w nawale kłopotów codziennego życia, kryzysu ekonomicznego i deprecjacji idei Solidarności.

Najpierw jednak warto przypomnieć, albo pokazać młodym, tło. Życie polityczne skupione było na realizacji jedynie słusznej drogi, wytyczonej przez przewodnią siłę narodu – PZPR. ZSL i SD były nic nie znaczącymi przybudówkami legitymującymi pozory demokracji, a związki zawodowe, z centralą CRZZ, były pod baczna kontrolą PZPR. Jednak właśnie to w związkach zawodowych słabo, ale jednak wyraźnie można było usłyszeć pomruk niezadowolonia z sytuacji ekonomicznej i politycznej.

**Nasz jest ten dzień
A jutro jest nieznane
Lecz żyjmy tak
Jak gdyby nasz był wiek .
Pod wolny kraj
Spokojnie kładź fundament
A jeśli ktoś
Nasz polski dom zapali
To każdy z nas
Gotowy musi być
Bo lepiej byśmy wolni umierali
Niż mamy klęczać na kolanach żyć.
Solidarność! Nasz jest ten dzień.
Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel.**

SIERPIEŃ 1980-84

Już początek roku 1980 wskazywał, że ten pomruk narasta. W Politechnice działał jedyny związek zawodowy – Nauczycielstwa Polskiego. Pomysł, że mogłoby być więcej związków, był czystą herezją! Około 90% załogi należało do ZNP, ponad 3600 osób i dodatkowo ponad 400 emerytów! W marcu odbywały się wybory do Rady Zakładowej ZNP. Poprzedzone były wyborami w radach wydziałowych, gdzie zebrano dosłownie stos postulatów, co należy zmienić, w życiu związkowym, w płacach, warunkach pracy itp. Wiele tych postulatów jest aktualnych i dzisiaj! Po burzliwych, zwiastujących nadchodzenie nowych czasów, wyborach, w skład rady weszło wówczas ponad 50% nowych ludzi. Jak się okazało w najtrudniejszych chwilach przełomu, w przeważającej części byli to wspaniali, w pełni odpowiedzialni koledzy i przyjaciele do dnia dzisiejszego.

W Radzie Zakładowej ZNP działałem już wcześniej, od prawie 10 lat. Poprzednio przewodniczyłem (co wówczas oznaczało po prostu ciężką pracę w „danym resorcie”) komisjom: mieszkaniowej, czasowej, informacyjnej. Zostałem wybrany i tym razem. Widocznym objawem niezadowolonia załogi z sytuacji był przebieg, 9 kwietnia, wyborów przewodniczącego Rady Zakładowej. Normalnie była to osoba cicho wskazywana przez Komitet Zakładowy PZPR, która bez kontrkandydata była ogromną większością wybierana ku chwale związku i partii. Tym razem „namaszczone” Andrzeja Niedzielskiego, a tu niespodzianka, Andrzej Haczewski zgłosił moją kontrkandydaturę, osoby, która nigdy nie była zwolennikiem PZPR. Niewielką większością zwyciężył jednak Andrzej Niedzielski, ale stanął na wysokości zadania i zaproponował mi funkcję wiceprzewodniczącego. Miałem się zajmować sprawami nauczycieli akademickich i współpracą z radami oddziałowymi. Drugim wiceprzewodniczącym został Edmund Brzoska, odpowiedzialny za sprawy nienauczycieli. Do końca semestru były jeszcze tylko 2 miesiące, co oznaczało konieczność uporządkowania ponad setki postulatów i mozolną walkę o ich realizację. Szybko jednak przyszły wakacje i można było zapomnieć o problemach związkowych. Aż do połowy sierpnia 1980!

W poniedziałek 18 sierpnia wróciłem po urlopie do pracy w Politechnice. Stocznie strajkowały, transport miejski zamarł. W Radzie Zakładowej ZNP prawie nikogo nie było, poza sekretarzem organizacyjnym, Panią Haliną Kuniewską i skarbnikiem, Ryszardem Skarżyńskim. Potwierdzili, że panuje spokój. Już jednak następnego dnia sytuacja zmieniła się.

19 sierpnia Międzyzakładowy Komitet Strajkowy zlokalizowany w Stoczni Gdańskiej donosił w Biuletynie Informacyjnym, że „w poniedziałek do MKS dołączyło się ponad 120 nowych zakładów i reprezentuje on już 240 przedsiębiorstw”.

W tej sytuacji przed garażami Działu Transportu Politechniki Gdańskiej doszło do spontanicznie zwołanego wiecu z udziałem około 360 osób. Zebrani uchwalili list skierowany do MKS, w pełni popierający żądania strajkujących załóg, zebrali sumę ponad 10 tysięcy złotych i wybrali pięcioosobową delegację – w składzie: Ciapka, Gruszecki, Hirsch, Stołyhwo i Żurek, która miała przekazać poparcie Politechniki i zorientować się, co się dzieje w Stoczni Gdańskiej. Informacje te mieli oni przekazać następnego dnia załodze Politechniki. Delegacja została owacyjnie powitana w Stoczni, a MKS zarejestrował Po-

litechnikę Gdańską na 249. pozycji. W środę, 20 sierpnia rano cała załoga czekała z niecierpliwością na wiadomości od delegatów. Audytorium MT było zapchane do ostatniego miejsca. Zebrani wysłuchali informacji o żądaniach załóg robotniczych, ponownie je poparli i postanowili pozostać na posterunku pracy.

Bezpośrednio potem odbyło się plenum Rady Zakładowej ZNP, rozszerzone o przedstawicieli rad oddziałowych. Jednocześnie poparło ono treść listu skierowanego przez załogę Politechniki do MKS i uznało 21 postulatów, sformułowanych przez MKS, za podstawowe problemy wyjściowe do dyskusji z władzami. Równocześnie uznało wybraną uprzednio delegację za oficjalne przedstawicielstwo Rady Zakładowej ZNP i udzieliło formalnego upoważnienia wszystkim pięciu delegatom do pełnienia funkcji łącznika pomiędzy MKS a Radą Zakładową, reprezentującą całą załogę Politechniki.

Decyzje te sprawiły, iż w zasadzie cały ciężar dalszych wydarzeń sierpniowych w Politechnice Gdańskiej spoczął na barkach Rady Zakładowej ZNP. Jak się okazało, była to praktycznie jedyna oficjalna organizacja w szkołach wyższych Trójmiasta, która włączyła się od pierwszego dnia w spontaniczny nurt życia strajkowego, jednoznacznie i aktywnie popierając protest klasy robotniczej. Sama Politechnika jednak nie strajkowała i nie było w niej komitetu strajkowego.

Dla mnie rozpoczął się wyczerpujący, ale też pasjonujący okres życia. W związku z nieobecnością prezesa Niedzielskiego, który spędzał wakacje w NRD, spadł na mnie obowiązek kierowania ruchem związkowym w Politechnice. Oznaczało to uczestnictwo w samym centrum „wiru” i ciążyło ogromnym brzemieniem odpowiedzialności. Choć w momentach ogromnych napięć psychicznych tamtych dni nie wszyscy byli ze sobą zgodni, osobiście bardzo wysoko cenię sobie fakt współpracy z nimi. Wróćmy jednak do podstawowego wątku wydarzeń.

Zgodnie z postanowieniem plenum, następnego dnia, czyli 21 sierpnia, rady oddziałowe zwołały zebrania załóg, by je poinformować o toku wydarzeń i przedyskutować istniejącą sytuację. Przypomnijmy, że władze państwowe nie chciały prowadzić jeszcze wówczas żadnych rozmów ze strajkującymi, chociaż w Gdańsku był już wicepremier Pyka. Panowała blokada telekomunikacyjna Wybrzeża, wiele osób na tzw. stanowiskach chętnie skryłoby się w przysłowiowej „mysiej dziurze”, a całe społeczeństwo było trochę inne i inaczej widziało rzeczywistość niż dzisiaj.

Jeszcze tego samego dnia odbyło się podsumowujące zebranie plenarne Rady Zakładowej rozszerzonej o przewodniczących rad oddziałowych. Taki skład plenum stał się regułą. Równocześnie wszystkie zebrania były otwarte i często towarzyszyła im ogromna „galeria”. Zebrani uchwalili apel:

„Kierując się troską o najżywotniejsze interesy kraju i działając z woli pracowników Politechniki Gdańskiej, Rada Zakładowa ZNP PG apeluje o podjęcie natychmiastowych rozmów pomiędzy Komisją Rządową a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Apelujemy również o wykazanie dobrej woli i podjęcie rozmów bez stawiania warunków wstępnych. W naszym przekonaniu jest to jedyna droga szybkiego rozwiązania trudnej sytuacji Wybrzeża”.

Natychmiast po uchwaleniu tekstu apelu, łącznicy – Ciapka, Gruszecki i Stołyhwo – poszli z nim do MKS, a Wysokiński i Zimny do Komisji Rządowej. Przyjęcie w MKS było entuzjastyczne. Apel został natychmiast przekazany przez wszystkie głośniki stoczniowe, a jednego z łączników – Gruszeckiego – nie wypuszczono już ze Stoczni i dokooptowano jako czterna-

stego członka Prezydium MKS. Kolegów, którzy poszli do Komisji Rządowej, nikt nie przyjął, a pismo kazano jedynie zostawić w sekretariacie.

W piątek 21 sierpnia odbyło się następne plenum sumujące naszą dotychczasową działalność. Po raz pierwszy nastąpił też kontakt z „górami związkową”. Na zebranie przyszła kierownik Oddziału ZG ZNP w Gdańsku, Zofia Trybul. Warto podkreślić, że środowiskowa Sekcja Nauki w tym czasie jakby nie istniała. Wystąpienie Pani Trybul zostało przyjęte chłodno i krytycznie. Zebrani odrzucili tekst rezolucji z 21 sierpnia, podjętej bez uczestnictwa naszej rady przez przedstawicieli rad zakładowych ZNP Okręgu Gdańskiego, gdyż nie zawierała ona uznania MKS, jako przedstawicielstwa strajkujących załóg.

W związku z brakiem porozumienia pomiędzy władzami a strajkującymi, co do sposobu prowadzenia rozmów, plenum skierowało do Rektora PG, był nim prof. Marian Cichy, delegację z propozycją powołania komisji mediacyjnej złożonej z uznanych autorytetów naukowych. Niestety, nie udało się, ze względu na późne godziny popołudniowe, zaprosić profesorów wcześniej niż na poniedziałek rano.

Na plenum podsumowano też postulaty pracowników Politechniki. Oprócz postulatów szczegółowych, zawartych w uchwale konferencji sprawozdawczo-wyborczej, plenum RZ ZNP PG żądało:

1. podjęcia rozmów z MKS;
2. prawdziwej informacji w środkach masowego przekazu;
3. rozpatrzenia sytuacji w kraju przez Sejm PRL;
4. utworzenia niezależnych związków zawodowych wyposażonych w prawo do organizowania strajków i dostęp do środków masowego przekazu;
5. rozszerzenia skutecznej walki z alkoholizmem;
6. wprowadzenia autonomii i samodzielności uczelni;
7. poprawy organizacji, stanu bazy materialnej i warunków pracy nauczycieli szkolnictwa podstawowego i średniego;
8. zapewnienia pełnego bezpieczeństwa w sensie niewywierania presji lub sankcji z tytułu działalności związkowej i akcji strajkowej wobec pracowników delegowanych przez Radę Zakładową ZNP PG do współpracy z Komitetem Strajkowym.

Ten ostatni punkt był bardzo istotny z punktu widzenia dokooptowania Gruszeckiego do Prezydium MKS. Plenum uznając, że Gruszecki zgodziwszy się wejść w skład Prezydium MKS z głosem doradczym przekroczył udzielone mu przez Radę Zakładową upoważnienie, polegające na roli łącznika, postanowiło jednak dać mu ochronę prawną poprzez uznanie stanu faktycznego. Przypomnijmy! Władze państwowe wciąż nie uznawały strajku w Stoczni za legalny i jego uczestnikom, a szczególnie Prezydium MKS, w skład którego wszedł Gruszecki, groziły poważne sankcje karne. Rada Zakładowa ZNP PG była praktycznie jedyną instytucją formalną dającą w tej sytuacji osłonę prawną naszemu Koledze.

Jeszcze tego samego dnia łącznicy przekazali żądania pracowników Politechniki zarówno Komisji Rządowej, jak i MKS. Równocześnie obu stronom przekazano propozycję wybrania terenu Politechniki Gdańskiej jako miejsca rokowań. Jak wiadomo, strony nie skorzystały z tej propozycji. Następnego dnia, 23 sierpnia, była wolna sobota; Politechnika nie pracowała, a ja byłem zaproszony do Domu Nauczyciela na spotkanie aktywów ZNP. Spotkanie było zorganizowane dla kolegów z pionu oświaty, gdyż przyjechał wiceminister oświaty i wychowania, wiceprezes Zarządu Głównego ZNP i parę oficjalnych osób z województwa. Można krótko powiedzieć, że zebranie było „w sta-

rym stylu”. Dodam jedynie, że wszelkimi sposobami starano się mnie „splawić”, uzasadniając, że zostałem zaproszony przez pomyłkę. Naprawdę zaś chodziło o to, że w uczelniach już wrzało, a tymczasem „oświata” miała jeszcze wakacje.

25 sierpnia, w poniedziałek, spotkaliśmy się w nastroju pełnym optymizmu. Nastąpił przełom. Do Gdańska przyjechał wicepremier Jagielski, a mediacyjna działalność Jerzego Kołodziejewskiego, wojewody gdańskiego i równocześnie profesora Politechniki, doprowadziła do podjęcia oficjalnych rozmów z MKS.

Tak więc plenum Rady Zakładowej ZNP PG z udziałem Rektora, prof. Mariana Cichego, oraz zaproszonych do mediacyjnej komisji autorytetów – profesorów Jerzego Doerffera, Kazimierza Kopeckiego, Tadeusza Lipskiego, Roberta Szewalskiego i Kazimierza Grelaka (ilu z nich już nie ma wśród nas!) – miało charakter niemal uroczysty. Zebrani wysłuchali opinii zaproszonych gości, uznając, że mediacja jest już niepotrzebna. Z uznaniem przyjęto deklarację tych spośród zaproszonych gości, którzy wyrazili gotowość, gdyby taka potrzeba zaistniała, służenia swoją wiedzą i doświadczeniem w toczących się rozmowach pomiędzy Komisją Rządową a MKS. Następnie wysłuchano informacji delegata RZ ZNP PG do MKS o przebiegu rozmów w Stoczni Gdańskiej. Na koniec, po dyskusji zdecydowano, że w terminie do 15 października odbędą się ponownie wybory do wszystkich instancji związkowych Politechniki Gdańskiej.

Wtorek 26 sierpnia był dla mnie trudnym dniem. Stałem przed problemem rozbicia prezydium Rady Zakładowej, co musiałoby doprowadzić do rozbicia Rady Zakładowej, a w efekcie całego ZNP w PG. Analizując sprawę na chłodno, jestem pewien, że nietypowa działalność naszej Rady „psuła” w opinii niektórych osób model „skompromitowanego związku”, a przez to utrudniała formowanie idei nowych, samorządnych i niezależnych związków zawodowych. W każdym razie po niezwykle wyczerpującej dyskusji udało się zachować formalną jedność organizacji.

Tej nocy nie mogłem spać, analizując dotychczasowe działania. W szczególności wracałem do dyskusji o uznaniu działalności kolegi Gruszeckiego. W czasie tej dyskusji na sali obrad obecna była bardzo sugestywnie oddziałująca grupa osób, nie będących członkami Rady, która wywierała presję w kierunku przekazania Gruszeckiemu pełnego pełnomocnictwa w sensie reprezentowania Rady. Był on jednak bliżej nieznanym w środowisku, wybrany na wiecu w sposób przypadkowy. Przekazywanie mu pełnego prawa głosu w imieniu całej załogi, bez konsultacji z tą załogą, wydawało się, w tym jakże dramatycznym okresie, nieuzasadnione. Na zebraniu twardo zwracałem kolegom na to uwagę. Mieli jednak o to do mnie pretensje, dlatego postanowiłem poddać się następnego dnia pod osąd plenum Rady Zakładowej.

Zebranie w środę, 27 sierpnia, okazało się dla mnie jednym z najbardziej dramatycznych. Na początku przekazana została decyzja podjęta poprzedniego dnia przez prezydium.

„Do dnia przeprowadzenia nowych wyborów związkowych w PG obecne prezydium sprawować będzie wszelkie obowiązki formalne, natomiast wszelkie decyzje podejmowane będą w uzgodnieniu i za akceptacją rozszerzonego plenum Rady Zakładowej”.

Następnie złożyłem dość dramatyczne oświadczenie i odbyła się wyczerpująca dla mnie dyskusja na temat mojej osobistej roli w działalności Związku.

Jak podano następnie w wydanym komunikacie nr 133: „...w odpowiedzi na pytanie przewodniczącego plenum, wiceprezesa Rady Zakładowej ZNP, kol. A. Nowakowskiego, zebrani zdecydowaną większością głosów (przy dwóch wstrzymujących) wyrazili mu votum zaufania z tytułu dotychczasowej działalności i upoważnili do przewodnictwa zebraniu”.

Następnie wybrano dwóch przedstawicieli, którzy udali się do przebywającego w Politechnice Gdańskiej Wiceministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, byłego Rektora Politechniki Gdańskiej, prof. Tomasza Biernackiego, w celu przedstawienia mu wniosków i postulatów pracowników Politechniki Gdańskiej, które wpłynęły zarówno w czasie związkowych zebrań sprawozdawczo-wyborczych, jak również w czasie ostatnich kilkunastu dni.

O godz. 12.00 do Klubu Pracowników PG, gdzie odbywało się rozszerzone plenum Rady Zakładowej, przybyli Wiceminister, Rektor PG oraz inni członkowie kierownictwa uczelni. Po kilkunastu minutach okazało się, że sala Klubu oraz sala 154, w której zainstalowano głośniki transmitujące przebieg obrad rozszerzonego plenum, nie były w stanie pomieścić wszystkich uczestników. Padały okrzyki i głosy niezadowolenia, które w konsekwencji uniemożliwiły prowadzenie zebrania. Atmosfera była napięta, gdyż ktoś puścił plotkę, że Minister, Rektor i Rada chcą wyrzucić z Politechniki Gruszeckiego. Było to wierutną bzdurą, tym niemniej spowodowało stan wrzenia załogi i zmobilizowało około tysiąca ludzi do przyjscia pod małą salę Klubu, gdzie odbywało się plenum. Oczywiście, nikt nie był przygotowany do przyjęcia takiego tłumu. W Klubie mogło się pomieścić najwyżej 200 osób, następne 200 weszło do radiofonizowanej sali 154 (jest tam teraz laboratorium komputerowe), pozostali, nie wiedząc, co się dzieje, byli coraz bardziej rozjątrzeni. Znaleźli się i tacy, którzy wołali: „Dajcie mi łom! Dajcie mi młot! Trzeba wyważyć te drzwi!” A drzwi były otwarte, tylko zatarasował je tłum. Sytuację udało się opanować po obietnicy radiofonizowania auli Gmachu Głównego, dokąd udała się następnie większość zebranych. Opis kursywą, to fragment protokołu z tego posiedzenia:

„Po 30 minutach przerwy przeznaczonej na założenie aparatury nagłaśniającej PG wznowiono w sali Klubu obrady rozszerzonego plenum Rady Zakładowej ZNP. Zebrani przystąpili do dyskusji i omawiania zgłoszonych postulatów. Wniosek o wprowadzenie większej autonomii uczelni i wybieralności władz wzbudził dużą dyskusję. Wszyscy zebrani wyrażali pogląd, że wniosek jest słuszny. Wymaga wnikliwej dyskusji i zastanowienia nad sposobem jego realizacji.

W sprawie zapewnienia bezpieczeństwa pracowników PG uczestniczących aktywnie w ostatnich wydarzeniach, zapewniono zebranych o pełnym bezpieczeństwie. Dyskutowana była sprawa generalnej reformy systemu zarządzania wyższymi uczelniami, w tym systemu płac. Jednocześnie w Auli PG odłączeniem aparatury nagłaśniającej rozpoczęło się spontanicznie zwołane zebranie pracowników pod hasłem: „Tworzymy nowe związki zawodowe”. Po kilkadziesiąt minut zebrani w auli uznali jednak za właściwe i celowe zaproszenie do dyskusji członków rozszerzonego plenum Rady Zakładowej. W tej sytuacji przerwano obrady w Klubie PG, aby udać się do auli. Na życzenie zebranych, członkowie dotychczasowego Prezydium Rady Zakładowej złożyli informacje na temat działania organizacji związkowej w czasie ostatnich dni. Zebrani w auli PG pracownicy, po krótkiej dyskusji, powszechnymi oklaskami potwierdzili właściwość podejmowanych dotychczas przez roz-

szerzone plenum Rady Zakładowej działań i decyzji. Z aprobatą przyjęto również wnioski zebranych o przystąpieniu organizacji związkowej PG do prac w Komisji Porozumiewawczej Naukowego Środowiska Trójmiasta (KPNST), wybierając jako delegatów kolegów Dominiaka i Stolarskiego. Prezydium Rady Zakładowej zobowiązało się przedłożyć ten wniosek do zatwierdzenia rozszerzonemu plenum Rady Zakładowej”.

Tego samego dnia spotkaliśmy się - wiceprezesa RZ ZNP PG, Edmund Brzoska i ja, z wiceprezesem Zarządu Głównego, przekazując pełną informację o sytuacji w Politechnice. Oczekiwaliśmy natychmiastowej reakcji, tymczasem proponowane przez Zarząd Główny działania były spóźnione lub chybione i miały charakter typowo zachowawczy.

W czwartek nic się na Politechnice nie działo. Można powiedzieć, że ludzie odpoczywali po burzliwej środzie i z niecierpliwością czekali na postęp w oficjalnych rokowaniach. W piątek, 29 sierpnia, odbyło się następne zebranie plenarne Rady Zakładowej. Zatwierdzono na nim delegatów do KPNST, wybierając dodatkowo Rosochowicza. Przeanalizowano działalność nadrzędnych organów związku i uznając, że brak jest rzeczywistej reakcji na nasze problemy, jak i sytuację w kraju, podjęto jednomyślnie następującą uchwałę:

„Ze względu na brak zaufania, wszystkie decyzje Zarządu Głównego ZNP, wydawane w chwili obecnej bez zgody Rady Zakładowej ZNP PG, nie obowiązują jej i nie mogą być podejmowane w jej imieniu.”

W sobotę, 30 sierpnia, poszliśmy z Edmundem Brzoską, aby zakomunikować tę decyzję na zebraniu prezesów rad zakładowych wyższych uczelni i instytutów naukowych Trójmiasta. Na zebranie przybyli wiceprezes Zarządu Głównego ZNP i prezes Krajowej Sekcji Nauki. Niestety, nie przywieźli z Warszawy nic adekwatnego do sytuacji, natomiast dużo usłyszeli od nas. „Lekcja” ta nie na wiele się jednak przydała i zachowawcze stanowisko ZG zostało przełamane dopiero na XIII Zjeździe ZNP w październiku 1980. Aby być sprawiedliwym należy dodać, że to stanowisko Krajowej Sekcji Nauki wpłynęło pozytywnie na przebieg obrad tego Zjazdu.

Tego samego dnia odbyło się następne plenum naszej Rady. Zdaliśmy na nim sprawozdanie z ранego spotkania. Zdali też relacje koledzy uczestniczący w spotkaniach KPNST. M.in. poinformowali, że przedstawiciele uczelni i instytutów uznają celowość spotkań jedynie w celu wymiany informacji o sytuacji w poszczególnych placówkach naukowych. Jak się później okazało, ani KPNST, ani zebranie prezesów rad zakładowych, ani tym bardziej środowiskowa Sekcja Nauki, która zebrała się dopiero w październiku, chyba tylko po to, aby się rozpaść, nie doprowadziły do efektywnej integracji środowiska naukowego.

Tymczasem nadeszła niedziela, 31 sierpnia. Komisja Rządowa podpisała z MKS porozumienie kończące strajk. Ogromna fala entuzjazmu, radości i ulgi ogarnęła całe Trójmiasto, a i chyba całe polskie społeczeństwo.

Wracając wspomnieniami do tego momentu, warto pamiętać o wkładzie Politechniki Gdańskiej, instytucji, która działała w kierunku porozumienia. Jej wychowankowie i pracownicy siedzieli po obu stronach najważniejszego wówczas w Polsce stołu. Dokument oficjalny porozumienia między innymi podpisali z jednej strony Jerzy Kołodziejcki, wojewoda gdański i profesor Wydziału Architektury PG, którego z żalem żegnaliśmy w lipcu tego roku na Cmentarzu Srebrzysko, z drugiej strony Wojciech Gruszecki, wówczas adiunkt na Wydziale Chemicz-

nym PG. Był tam też Andrzej Gwiazda, kiedyś pracownik Wydziału Elektroniki.

W poniedziałek, 1 września 1980 r., atmosfera na rozszerzonym plenum Rady Zakładowej ZNP PG była rodzinna. Dyskutowano o sprawach organizacyjnych ruchu związkowego wobec podpisania porozumienia przez Komisję Rządową i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Uzgodniono, że wszelkie kroki organizacyjne mogą być podejmowane dopiero po poinformowaniu ogółu pracowników o zasadach statutowych, zarówno dotychczasowych, jak i nowo powoływanych związków. Opinie wszystkich pracowników PG powinny być zebrane w formie ankiety lub plebiscytu. Około godz. 12.00 tego samego dnia odbyło się spotkanie z Gruszeckim, któremu podziękowano za dotychczasową pracę w Prezydium MKS oraz zaproszono na spotkanie z pracownikami PG w auli w dniu 2.09.80 r. Postanowiono również wystosować do Komisji Rządowej oraz Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jednobrzmiące listy następującej treści:

„Z niesłabnącą uwagą i zaangażowaniem uczestniczyliśmy w wydarzeniach ostatnich tygodni. Daliśmy temu wyraz w naszych działaniach, m.in. w apelu z dnia 21 sierpnia 1980 r., wzywającym do podjęcia rozmów między Komisją Rządową a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Teraz, gdy rozmowy doprowadziły do porozumienia i wypracowania wspólnego stanowiska, pragniemy wyrazić swą satysfakcję i głębokie przekonanie o słuszności wybranej drogi i uważamy, że rozwiązanie takie służyć będzie najlepiej interesom i rozwojowi naszej Ojczyzny. W imieniu załogi gorąco dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do zawarcia porozumienia, za wykazany patriotyzm, realizm i ogromny wkład pracy. Rada Zakładowa ZNP PG”

Następne dni, to głównie działania zmierzające do powstania „Solidarności” w PG. Jest to już jednak inny temat.

Wiele osób, które przeszły szkołę działalności społecznej w „starych” związkach zawodowych, potwierdziło następnie swe umiejętności, pełniąc wiele odpowiedzialnych funkcji społecznych w nowych związkach, jak i w życiu Politechniki, w roli rektorów, dziekanów, czy „tylko” kierowników instytutów, katedr czy zespołów badawczych. Wszystkim tym osobom dziękuję teraz za wspólne działania, które możemy wspominać z podniesionym czołem.

Antoni Nowakowski

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Jeden z okrętowców Politechniki Gdańskiej

W dniu 11.02.2000 r. prof. dr inż. Władysław Wojnowski, wieloletni pracownik Politechniki Gdańskiej, otrzymał za osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i organizacyjne, zaszczytną godność Doktora Honoris Causa Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni.

Prof. dr inż. Władysław Wojnowski urodził się 28 stycznia 1922 r. w m. Lida, w dawnym województwie nowogródzkim II Rzeczypospolitej Polskiej. W tej samej miejscowości, do wybuchu wojny ukończył szkołę powszechną, gimnazjum oraz pierwszą klasę liceum matematyczno-fizycznego. Szkołę średnią ukończył w 1940 r. W okresie II wojny światowej pracował najpierw jako nauczyciel, a po zamknięciu szkoły z polskim językiem nauczania w 1942 r. był buchalterem w firmie handlowej w Lidzie. Walczył w szeregach Armii Krajowej. Internowany przez władze ówczesnego Związku Radzieckiego i wywieziony do Kaługi, wrócił do Polski w 1946 r. – na podstawie umowy o repatriacji.

W 1947 r. wstąpił w związek małżeński z Barbarą Przyłipiak, został ojcem trojga dzieci.

W latach 1946-52 studiował na Politechnice Gdańskiej, gdzie uzyskał tytuł zawodowy mgra inż. budowy okrętów o specjalności budowa maszyn okrętowych.

W 1962 r. obronił pracę doktorską w Wojskowej Akademii Technicznej nt. Analiza możliwości zmniejszania oporów okrętów szybkich przez smarowanie dna spalinami i uzyskał stopień naukowy doktora nauk technicznych.

W 1966 r. został mianowany docentem, a w 1973 r. uzyskał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego, nadany przez Radę Państwa RP.

W latach 1946-54 pracował w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej w Gdyni jako wykładowca, starszy wykładowca i kierownik Cyklu Matematyczno-Fizycznego. W 1954 r. za ukrywanie przynależności do ZWZ i AK został aresztowany i zwolniony z OSMW.

W latach 1953-62 był pracownikiem Zakładu Siłowni Okrętowych Politechniki Gdańskiej jako konstruktor, starszy konstruktor, główny konstruktor oraz główny specjalista. Przez dwa lata był starszym konstruktorem w Stoczni Mar.Woj., a przez wiele lat był dodatkowo zatrudniony w Biurze Projektów i Studiów Taboru Rzecznego.

Od 1958 r. ponownie rozpoczął pracę w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej (WSMW) w Gdyni, najpierw jako pracownik cywilny, a od 1962 r. jako żołnierz zawodowy. Zajmował kolejno stanowiska: kierownika Zespołu Ciepłego Katedry Siłowni Okrętowych, szefa Wydziału Naukowo-Badawczego WSMW, szefa Katedry Siłowni Okrętowych, komendanta Instytutu Konstrukcji i Napędów Okrętów i jednocześnie przez przeszło 14 lat komendanta (dziekana) Wydziału Mechaniczno-Elektrycznego. W 1983 r., ze względów zdrowotnych, przestał pracować w WSMW, a jako żołnierz zawodowy odszedł do rezerwy w stopniu komandora. W 1984 r. został zatrudniony w Katedrze Siłowni Okrętowych Politechniki Gdańskiej na stanowisku profesora, gdzie pełnił funkcję kierownika tej Katedry, a w 1992 r. odszedł na emeryturę.

Jest autorem 5 monografii, 42 artykułów, ponad 40 referatów i wielu opracowań konstrukcyjnych.

Za swoje osiągnięcia był wielokrotnie wyróżniany nagrodami państwowymi, PAN i MON, a także odznaczeniami państwowymi i resortowymi, w tym Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Zło-



Prof. Władysław Wojnowski podczas uroczystości nadania mu przez Senat Akademii Marynarki Wojennej godności Doktora Honoris Causa tej Uczelni (fot. H. Błaszkiwicz)

tym Medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, Medalem Edukacji Narodowej.

Poniżej jest przedstawione wystąpienie prof. dra inż. W. Wojnowskiego podczas uroczystości nadania mu przez Senat Akademii Mar.Woj. godności Doktora Honoris Causa tej Uczelni.

Jerzy Girtler

Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

W naszej narodowej mentalności zawsze dominował kult bohaterstwa wojennego. Kiedyś może to i wystarczało. Jednak – że nie w drugiej połowie XX wieku. Na przykład, ok. 1965 r., w ćwiczeniach taktycznych Marynarki Wojennej przyjmowano, że w ataku 18 kutrów torpedowych (skutecznym) na pojedynczy niszczyciel, zostanie zatopionych (rozstrzelanych przez obronę Ni) przeszło 2/3 z nich. Miało zginąć powyżej 300 marynarzy. Bohaterstwem i poświęceniem łatan o brak nowoczesnej techniki. (Nasz były sojusznik, ZSRR, dozwalał nam dostęp do najważniejszych osiągnięć technicznych, m.in. marynarki wojennej. Bywały okresy karencyjne nawet 10-15-letnie, a niektórych w ogóle nie udostępniano.) Setki matek miały opłakiwać swoich synów – BOHATERÓW, tylko z powodu jednego ataku na pojedynczy Ni. A przecież to tylko malutki wycinek z ogromu. Jednym z imperatywów powinna być minimalizacja własnych strat ludzkich – podobnie jak w lotnictwie. Bohaterstwo jest ważne, ale w dobie obecnej wygrywa nowoczesna technika. Nikt nam za darmo jej nie da. Musimy sami, na miarę naszych możliwości, ją opracowywać i wdrażać. A takie możliwości zawsze i w każdych warunkach w jakimś stopniu istnieją. Posiadamy wielu zdolnych i wykształconych ludzi, pragnących coś w życiu zdziałać. Trzeba tylko ich zauważyć, wciągnąć do konkretnej pracy twórczej, a staną się romantykami jej realizacji.

Tak się złożyło, że najważniejsze moje osiągnięcia przypadają na okres, gdy kierowałem kilkoma zespołami naukowo-badawczymi w Wyższej Szkole Mar.Woj. (WSMW) – lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Trzy z nich, to dość liczne zespoły oficerów pionu technicznego Mar.Woj. oraz inżynierów i techników cywilnych – łącznie w szczytach rozwoju do około 120 osób. Oni to głównie pracowali i tworzyli, a wyróżnienie otrzymuję ja. Gdybym nie wspominał o wkładzie pracy osób najważniejszych, najbardziej zaangażowanych i wnoszących wiele inicjatywy oraz

koncepcji, uważam, że przywłaszczyłbym sobie ich dorobek. Muszę to wyraźnie podkreślić.

Ja przede wszystkim byłem nauczycielem. Nauczałem młodzież przez 52 lata, z czteroletnią przerwą w latach wojny. Najpierw, 2 lata w wiejskiej szkole powszechnej na Kresach Wschodnich w byłym województwie nowogrodzkim – dopóki jeszcze można było nauczać w języku polskim. Po wojnie, w OSMW, WSMW, AMW, przepracowałem łącznie 35 lat, a w Zakładzie i Katedrze Siłowni Okrętowych PG – 16 lat, w tym 5 lat w obu Uczelniach równocześnie. Kilka lat pracowałem również w okrętowych biurach konstrukcyjnych – w niepełnym wymiarze etatu (Stocznia Mar. Woj. oraz Biuro Projektów i Studiów „NAVICENTRUM” we Wrocławiu). Pracując w Zakładzie Siłowni Okrętowych PG, obroniłem w 1962 r. pracę doktorską pt. „Analiza możliwości zmniejszenia oporów okrętów szybkich przez ‘smarowanie’ dna spalinami”, która wносиła jakiś wkład do rozwoju okrętownictwa. Badania przeprowadzone na okręcie potwierdziły moje hipotezy, że poprzez wprowadzenie pod dno spalin z silników na szybkich okrętach półślizgowych (małe zanurzenie, płaskie dno), można uzyskać nawet mniejsze przeciwcisnienie spalin niż podczas odlotu do atmosfery, tzn. że zasysanie podwodne spalin może poprawić nieco ich sprawność i moc. Po wtóre, wytworzenie zwartej otuliny gazowej pod częścią dna okrętu zmniejszy opór tarcia o wodę, pod warunkiem, że spaliny nie dostaną się w pole pracy śrub napędu jednostki, co zniweczyłoby wyżej wymienione oba dodatnie efekty. I wreszcie radykalne obniżenie pola cieplnego okrętu. Efekty tych badań zostały wykorzystane z powodzeniem przez konstruktorów Wydziału Budowy Okrętów PG przy opracowaniu i budowie pierwszego polskiego wodolotu morskiego „ZRYW 1”. W dalszej części mego wystąpienia ograniczę się tylko do etapu pracy w WSMW – Uczelni dzisiejszej uroczystości.

Po doktoracie, w 1962 r., zostałem powołany do zawodowej służby wojskowej i wkrótce wyznaczony na szefa Wydziału Naukowo-Badawczego WSMW. Moim zadaniem było spowodowanie podnoszenia kwalifikacji naukowych nauczycieli akademickich – głównie doktoratów, i w ogóle prestiżu naukowego Uczelni. Młoda Wyższa Uczelnia pilnie potrzebowała dorobku naukowego. Uważałem, że powinna podjąć nowoczesną, poważną tematykę z dziedziny techniki morskiej, niosącą w sobie rozwój naukowy jej pracowników. Zaproponowałem dla Wydziału Technicznego WSMW „Opracowanie koncepcji, projektu oraz budowy układów kompleksowej automatyzacji siłowni okrętowych oraz niektórych instalacji okrętowych w aspekcie bezzałogowych okrętów telesterowanych”. Był to w owym czasie temat zupełnie nowatorski. Uzasadniałem, że okręty bezzałogowe, wyprzedzając szczyk bojowy, ściągną na siebie ogień przeciwnika, a wyposażone w zwiększone pola fizyczne ściągną również samonaprowadzające się rakiety. To da zmniejszenie strat ludzkich na innych okrętach – załogowych. Poza tym, że takie okręty lepiej i do końca będą realizować postawione zadania, bo załoga podczas walki ulega stresom, a w przypadku poważnego uszkodzenia okrętu myśli o ratowaniu się, a nie o dalszej walce. Rada Naukowa WSMW (Senat) temat zaakceptowała. Podobnie Dowództwo Mar. Woj., a nawet odpowiedni Oddział Sztabu Generalnego. Pieniądzy jednak żadnych nie przyznano. Kołatałem do różnych instytucji naukowo-technicznych, m.in. NOT-u. Bezskutecznie.

W 1963 r. z katedr WT oddelegowano 4 oficerów dla realizacji tematu. Grupę tę nazwaliśmy Pracownią Automatyzacji Siłowni Okrętowych. Przez prawie 4 lata pracowaliśmy, nie mając żadnej pomocy finansowej. Wreszcie, przy pomocy płk. Monarskiego („Wilniuka”), delegata MON-u przy Komitecie Nauki i Techniki

(KNiT), udało się uzyskać zainteresowanie tej instytucji i Polskiej Akademii Nauk (PAN). Komitet Nauki i Techniki przyznał na lata 1967-70 sześć milionów złotych. Nie były to wielkie pieniądze. Wówczas pensja miesięczna pułkownika WP wynosiła ok. 10-15 tys. zł. Wymieniam nazwiska osób, bo to tylko dzięki nim praca została zrealizowana. Koordynatorem i nadzorującym realizację tematu wyznaczono Zakład Systemów Automatyki Kompleksowej PAN w Gliwicach. Nie tutaj mówić o początkowych trudnościach i wręcz przeciwnościach. Był czas, że zespół został rozwiązany – mimo że prace były już zaawansowane. Przy pomocy wspomnianego wyżej „Wilniuka” spowodowałem w Warszawie ostrą interwencję KNiT-u i PAN-u u Ministra Obrony Narodowej Marszałka M. Spychalskiego. Zespół został ponownie odtworzony, choć zyskałem potężnych wrogów. Dzisiaj – mogę do tego się przyznać. Oponentów i przeciwników nie brakowało, ale można też było znaleźć ludzi rozsądnych i sprzyjających, jeśli zamierzone działanie miało sens, było konkretne, realnie możliwe oraz wносиło postęp.

Postawiłem na młodych, poruczników i początkujących kapitanów Mar. Woj., również zdolniejszych absolwentów Wydziału Technicznego WSMW. Predyspozycje tych ostatnich do pracy inżyniersko-twórczej znałem, bo niektórych niedawno jeszcze uczyłem. Uważałem, że intuicja oraz inżynierska wyobraźnia są podstawowym czynnikiem niezbędnym dla postępu technicznego. Takich szukałem. Jeśli do tego dojdzie zaangażowanie osobiste, nie tylko będą koncepcje, ale i konkretna realizacja zamierzeń. Najważniejsze było – zaagitować do tej pracy, by uwierzyli w jej sens, wagę i aspekt humanitarny. Wzbudzić ich zaangażowanie. Przekonani do celu, po prostu traktowali ją jako swoje „hobby”. Pracowali wspaniale, prześcigając się w pomysłowości rozwiązań. Nie wyolbrzymiali ryzyka niepowodzenia, nie załamywali się chwilowymi niepowodzeniami czy trudnościami, a pracę w zespole uznawali za szczególne wyróżnienie. Wzajemnie sobie pomagali. Nie było zawiści. W ogóle udało się stworzyć wyjątkowo udany i zgrany zespół ludzi. Miałem dużo szczęścia, że na takich natrafiłem.

Pozwólcie, że pominię cały ogrom pracy, zanim doszliśmy do budowy układów. Dyskusje, różne koncepcje rozwiązań, przybliżone równania różniczkowe opisujące dynamikę pracy silników i całych zespołów napędu okrętu, oraz badania modelowe na elektronicznej maszynie analogowej, a później cyfrowej. Nawet przebudowaliśmy uczelnianą obliczeniową maszynę cyfrową „Odra 1013”, tak aby można było symulować procesy z uwzględnieniem czasu rzeczywistego. W dalszej części wystąpienia ograniczać się będę jedynie do efektów końcowych pracy, tzn. wykonanych układów automatyki okrętowej. Ograniczony czas mego wystąpienia nie pozwala na rozwinięcie tematu.

Początkowo wiodącym konstruktorem był kpt. mar. mgr inż. Maciej Jungst. Zostały zaprojektowane prototypowe układy, podzespoły i elementy automatyki – także regulatory. Wszystko w technice pneumatycznej, tak część logiczna, jak i wykonawcza (siłowa). Niestety, po wykonaniu okazało się, że tylko część siłowa działa poprawnie. Część logiczna, głównie regulatory, nie spełniły oczekiwań. Pierwsze podejście było nieudane. Następnie – kpt. mar. mgr inż. S. Ciesielski oraz kpt. mar. mgr inż. E. Zembruski zaprojektowali rozwiązanie części logicznej w technice przekaźnikowej. Część siłowa (wykonawcza) pozostała z poprzedniego rozwiązania, tzn. w technice pneumatycznej. Cdn.

*Władysław Wojnowski
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa*

PRAKTYKI OKRĘTOWE STUDENTA PG

Jak już o tym pisałem, w październiku 1947 roku, a więc nie co ponad dwa lata po zakończeniu wojny, rozpocząłem pracę w Stoczni Gdyńskiej (dopiero później nazwanej Stocznia imienia Komuny Paryskiej), jako pracownik fizyczny – praktykant. Zamieszkałem u rodziny w Janowie Pomorskim w pobliżu Gdyni. Dojeżdżałem do pracy pociągiem parowym, bo podmiejskiej elektrycznej kolei jeszcze wówczas nie było.

Codziennie rano, parę minut przed godziną siódmą, przekraczałem główną bramę Stoczni i idąc prosto zbliżałem się do basenu portowego, przy którym skręcałem w lewo. Z prawej strony basenu, w samym narożu, sterczał zatopiony dok pływający wraz z pontonem, na którym znajdował się mały okręt wojenny o nazwie „Tierpitz”. Dwukrotne próby podniesienia tego doku skończyły się niepowodzeniem. Dopiero za trzecim razem się udało.

Idąc dalej wzdłuż basenu, mijałem po lewej stronie tlenownię, w której jeden z jej pracowników pokazał mi płynny tlen w jakimś naczyniu. W pobliżu była hala silnikowa, gdzie pracowałem. Mijając halę silnikową, dochodziło się do następnego basenu, przy którym stało kilka segmentów okrętów podwodnych, budowanych tu w czasie wojny. Boddajże w tym basenie znajdował się olbrzymi niemiecki dok pływający o długości około 300 m, który wkrótce miał być zabrany do Związku Radzieckiego, jako zdobycz wojenna. Rzeczywiście niewiele minęło czasu, gdy holowniki wyprowadziły ten dok w morze, lecz w dalszym holowaniu przeszkodził im silny sztorm, który osadził dok na mieliźnie. Nie pamiętam już jego dalszych losów.

Przy jednym z pobliskich nabrzeży stoczniowych stał znany przed wojną żaglowiec „Zawisza Czarny”. Kiedyś wybrałem się tam, aby go dokładniej obejrzeć. Stał na uboczu, zupełnie opuszczony i bezpański. Zajrzałem do wnętrza. Było ciemne, ponure i puste.

W tym czasie główne wejście do gdyńskiego portu blokował umyślnie zatopiony przez wojska niemieckie potężny pancernik „Gneisenau”, a ruch statków umożliwiała poszerzona wyrwa w falochronie portowym. Widziałem zdemontowane lufy dział z tego pancernika i zmierzyłem ich średnicę wewnętrzną. Wynosiła 285 mm. W niedługim czasie pancernik ten usunęło Polskie Ratownictwo Okrętowe.

W pracy brałem udział, pod nadzorem fachowych robotników, w remontach kilkunastu statków, w tym okrętu podwodnego „Zbik”, niszczyciela ORP „Błyskawica” i parowca „Rataj”. Remontowałem najczęściej urządzenia pomocnicze, takie jak sprężarki i pompy, oraz niektóre elementy silników głównych parowych: urządzenia rozrządu pary, dławice trzonów tłokowych, łożyska nośne i inne.

Najwięcej czasu zajmowało mi tak zwane wówczas szabrowanie, to znaczy dokładne pasowanie dwóch współpracujących ze sobą powierzchni łożysk, prowadnic, podkładek itp. Polegało ono na tym, że jedną z powierzchni smarowało się specjalnym tuszem i przesuwało po drugiej, a wówczas wszelkie wzajemne niedokładności styku uwidaczniały się w postaci plam, które następnie skrobało się specjalnym narzędziem. Czynność się ponawiała, dopóki pasowana powierzchnia nie została po-

kryta w około 80% drobnymi, równomiernie rozłożonymi plamkami. Było to bardzo pracochłonne i monotonne zajęcie.

Część prac wykonywano się na warsztacie w hali stoczniowej, a pozostałe na statkach, jak na przykład demontaż i ponowny montaż remontowanych urządzeń.

W czasie tych prac zapoznałem się z wieloma urządzeniami wyposażenia siłowni parowych, z ich budową i zasadą działania.

Duże wrażenie wywarł na mnie udział w próbach w morzu ORP „Błyskawicy”. Pierwszy raz w życiu widziałem pracującą maszynę okrętową, manewrowanie okrętu w basenach portowych i oddalające się światła portu. Czulem kołysanie statku i drgania kadłuba spowodowane pracą maszyn.

Z pracą w Stoczni Gdyńskiej kojarzy mi się przydział paczek UNRRA (Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy). Każdy pracownik Stoczni otrzymał taką paczkę. Zawierała ona konserwy mięsne, suchary, słodczyce, pastylki do odkażania wody i inne skarby. Niektóre paczki zawierały także amerykańskie papierosy, a pozostałe coś innego w zamian. Wszyscy palacze zainteresowani byli paczkami z papierosami. Próbowali je jakoś zidentyfikować po napisach, ale bezskutecznie. Później okazało się, że na dwadzieścia pięć paczek tylko jedna była z papierosami. Przypadła ona mnie, wówczas jeszcze niepalącemu. Cały karton papierosów rozdałem rodzinie i przyjaźnionym kolegom z pracy.

W Stoczni Gdyńskiej pracowałem do lipca 1948 roku. Przez cały ten czas prowadziłem dzienniczek z opisem wykonywanych czynności i szkicami części maszyn, który następnie za pośrednictwem Stoczni został przesłany na uczelnię. Odbyta praktyka ułatwiła mi dostanie się na studia i została mi zaliczona jako praktyka studencka. Dzięki temu przez całe studia byłem zwolniony z obowiązku odbywania w okresie letnim miesięcznych praktyk stoczniowych.

* * *

Minęły trzy lata, w ciągu których zaliczyłem sobie teoretyczną część studiów inżynierskich, a następnie dostałem skierowanie na półroczną praktykę dyplomową do Stoczni Gdańskiej (nadano jej później imię Lenina).

Praktykę rozpocząłem z miesięcznym opóźnieniem, gdyż – jak już wspominałem – udało mi się załatwić w Stoczni urlop bezpłatny i pojechać na obóz żeglarski. Po powrocie pracowałem jako praktykant w Dziale Głównego Technologa tylko przez dwa tygodnie, w czasie których jedynym moim obowiązkiem było notowanie wszelkich usterek montażowych olbrzymich kotłów parowych firmy „Babcock-Wilcox”. Jednocześnie dowiedziałem się, że wszyscy moi koledzy (z wyjątkiem jednego) przerwali w Stoczni praktykę i podjęli normalną pracę zawodową na różnych stanowiskach. Tak na przykład jeden z nich został kierownikiem rurowni. Wiązało się to ze znacznym wzrostem zarobków: z 300 zł otrzymywanych przez praktykanta do ponad 1000 zł miesięcznie w zależności od zajmowanego etatu. Postanowiłem pójść za ich przykładem. W tym celu udałem się do Działu Montażu Maszyn, uważając, że tam powinienem mieć nie tylko wyższy zarobek, lecz także i dobrą praktykę.

Kierownik Działu po wysłuchaniu mnie powiedział:

– A co ja będę z panem robił w biurze? Chyba że zgodzi się pan pójść na warsztat?

Zgodziłem się, bo przecież pracę fizyczną w Stoczni już poznałem i się jej nie obawiałem.

Zacząłem więc pracę przy montażu różnych urządzeń na statkach. Moi koledzy, zatrudnieni w różnych biurach stoczniowych, spotykali mnie w zabrudzonym kombinezonie, z narzędziami i z różnymi częściami maszyn, gdy szedłem na statek lub wracałem do warsztatu. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo przecież uważano, że praca fizyczna uszlachetnia człowieka. Najbardziej jednak dokuczliwy był okropny hałas wewnątrz budowanego kadłuba. Do łączenia blach poszycia powszechnie stosowano nitowanie. Rozgrzane do czerwoności nity wkładano z jednej strony do wywierconych otworów i przytrzymywano. A z drugiej strony zaklepywano je młotem pneumatycznym. Błazniane poszycie kadłuba przenosiło potworny hałas do wszystkich pomieszczeń wewnętrznych.

Kierownik Działu Montażu Maszyn miał wówczas u siebie w biurze tylko trzech pracowników umysłowych: swojego zastępcę, technika i sekretarkę. Gdy technik poszedł na urlop, kierownik przypomniał sobie, że ma przecież jakiegoś umysłowego na warsztacie. Polecił mi więc pracować w biurze Działu w zastępstwie technika. Awansowałem zatem na pracownika umysłowego i miałem zupełnie inną pracę niż na warsztacie, dużo ciekawszą.

Pod moją opieką były wszystkie rysunki techniczne potrzebne do produkcji, musiałem je kompletować, wymieniać, jeśli wprowadzono jakieś zmiany, oraz wydawać brygadzystom. Wystawiałem zlecenia na pobranie z magazynów stoczniowych niezbędnych materiałów i części. Wystawiałem zlecenia dla innych działów Stoczni na prace pomocnicze. Bardzo często chodziłem na statki i robiłem szkice techniczne różnych elementów, które z miejsca były wykonywane przez odpowiedni warsztat i montowane lub wykorzystywane pomocniczo przy montażu właściwych urządzeń. Takich szkiców wykonałem kilkadziesiąt i nie miałem żadnej reklamacji. Podam tu jeden przykład.

Kiedyś po zwodowaniu kadłuba okazało się, że nie zamontowano jakiegoś zaworu, który powinien znajdować się pod wodą, możliwie nisko. Zapytałem:

– Jak nisko? Centymetr ponad obecnym poziomem wody? Czy jeszcze niżej?

Odpowiedziano mi, że wystarczy centymetr. Ale należy bardzo uważać, aby przy wypalaniu otworu woda nie dostała się do wnętrza kadłuba.

Poszedłem na statek. Wybrałem w przybliżeniu odpowiednie miejsce. Obejrzałem dokładnie nitowania wybranej blachy poszycia, a następnie zidentyfikowałem tę samą blachę i te same nity na zewnątrz statku oraz zmierzyłem w stosunku do nich położenie poziomu wody. Wróciłem do środka i zazaczyłem na płycie poziomu wody. Teraz narysowałem na kadłubie o odpowiedniej średnicy kółko i poleciłem wypalić otwór. Wypadł bardzo dobrze, tak jak było trzeba. Dokładnie centymetr nad poziomem wody.

Pewnego dnia w biurze byłem świadkiem rozmowy kierownika z brygadzystami, którzy narzekali na niskie zarobki. Kierownik usiłował ich przekonać, że przecież można się bezpłatnie uczyć, leczć itp. W pewnej chwili zwrócił się do mnie i zapytał:

– Pan dostawał stypendium na uczelni? Prawda, panie inżynierze?

Odpowiedziałem, że tak. Zapamiętałem to dlatego, że pierwszy raz w życiu zostałem nazwany inżynierem, chociaż jeszcze nie miałem dyplomu.

Kiedyś rozmawiałem z kolegą ze studiów, który pracował w Stoczni Gdyńskiej. Dowiedziałem się od niego, że części, których brak dotkliwie odczuwamy, oni mają w nadmiarze. Pochodziły z demontażu pancernika „Gneisenau”. Powiedziałem o tym kierownikowi Działu, a wtedy wysłano samochód i bez żadnych formalności otrzymaliśmy te części, bo były już przeznaczone na złom.

Stocznia bardzo odczuwała brak pracowników z wyższym wykształceniem. Cała działalność i nadzór produkcyjny opierały się wówczas na mistrzach i majstrach, którzy swoje umiejętności zawodowe zdobyli jeszcze przed wojną i w czasie wojny, pracując w stoczniach niemieckich. Mieli za sobą twardą szkołę i dość dobrze dawali sobie radę.

Pamiętam, że uznałem to za duże wyróżnienie i zaufanie do moich umiejętności zawodowych, gdy jeden z mistrzów, idąc na urlop, mnie wyznaczył na swojego zastępcę. W tym czasie na jednym ze statków montowano urządzenie do wyrzucania popiołu za burtę, typu Crompton. Zasadę działania tego urządzenia znałem ze studiów. Posiadało ono

kubel, który podniesiony do góry przechylał się, wysypując zawartość do morza. Napęd urządzenia stanowiła długa rura z tłokiem, podłączona do skraplacza parowego. Oglądając to urządzenie stwierdziłem, że u góry jest zbyt mało miejsca na obrót kubła. Wykonałem pomiary, które to potwierdziły, poleciłem więc u góry rurę napędową odchylić od pionu i zamontować ukośnie. Próba działania wypadła pozytywnie. Jednak Komisja Odbioru Statku zakwestiono-

wała to rozwiązanie i kazała zamocować rurę prosto. Gdy to wykonano, kubel nie miał dość miejsca na obrót. W związku z tym znowu zmieniono zamocowanie rury napędowej, wracając do mojego sposobu, co dało mi dużo satysfakcji.

Cała moja działalność w Stoczni Gdańskiej wiązała się z budową i wyposażaniem nowych statków, a mianowicie masowców z napędem parowym typu „Donbas” i „Kuzbas” oraz budowanych dla kraju drobnicowców, takich jak „Warszawa II”.

Pod koniec roku kalendarzowego wystąpiła groźba niewykonania planu produkcyjnego Stoczni. Spędzało to sen z oczu dyrekcji, organizacjom społeczno-politycznym i w ogóle wszystkim tym, którzy mieli coś do powiedzenia lub zrobienia w stoczni. Aby nadrobić zaległości, przymusowo przedłużono czas pracy do godziny dwudziestej (a pracowało się od siódmej rano i we wszystkie soboty roku). Ponadto ściągnięto z południa kraju robotników z hut i kopalni. Nie pamiętam już, czy wszystkie te środki coś pomogły. Mnie udało się uniknąć przedłużenia czasu pracy. Uzasadniłem to koniecznością przygotowywania się do zbliżającego się egzaminu dyplomowego. Argument ten uznano i pozwolono mi kończyć pracę o normalnej godzinie.

W czasie mojego, nie tak przecież długiego, zatrudnienia w Dziale Montażu Maszyn liczebność obsady jego biura wzrosła dwukrotnie, z czterech do ośmiu pracowników.

Kierownik z mojej pracy był z pewnością zadowolony, bo gdy się zwalniałem, chcąc dalej studiować na kursie magister-



skim, zaproponował mi podniesienie wynagrodzenia o dwie grupy, jeżeli zgodzę się zostać.

W Stoczni Gdańskiej przepracowałem około pół roku, zdobywając duże inżynierskie doświadczenie, znacznie lepsze, niż byłoby to możliwe podczas zwykłej studenckiej praktyki.

* * *

Jednym z przywilejów studentów Wydziału Budowy Okrętów były praktyki „pływające” na statkach. Możliwość odbycia rejsu zagranicznego, zwiedzenia kawałka świata, kupna egzotycznych upominków itp. była często istotnym motywem wyboru tego kierunku studiów. Niestety, jacyś nasi poprzednicy nie wrócili z takiego rejsu, wybierając wolność w krajach zachodnich, toteż praktyki „pływające” zawieszono i nikt z nas nawet o nich nie marzył. Dziekanowi udało się jednak załatwić dla nas miesiąc pływania na motorowcu „Narew”, należącym do Żegluga Gdańskiej i zatrudnionym na linii krajowej Gdynia - Ustka - Gdynia.

Praktykę tę przyznano nam trzem: Jasiowi, Olkowi i mnie. Musieliśmy przedtem załatwić niezbędne formalności w dziekanacie, w stoczni i u armatora. Żegluga Gdańska przyjęła nas bardzo życzliwie. Dostaliśmy specjalny ekwipunek, z którego najlepiej zapamiętałem dużą, sztywną czapkę marynarską z olbrzymim daszkiem. Powstał jednak pewien problem z pokryciem kosztów naszego wyżywienia. Koszt ten, w wysokości 450 zł miesięcznie, potrącano członkom załogi z ich wynagrodzenia. Nam nie można było tej kwoty potrącić, gdyż nasze praktykanckie wynagrodzenie wynosiło tylko 300 zł. I z czego tu potrącać? Chcieliśmy dopłacić, ale na to ani armator, ani załoga nie godzili się. Wreszcie jakoś tam między sobą to załatwili, tak aby nie nadwężyć naszej studenckiej kieszeni.

M.s. „Narew” był małym statkiem przybrzeżnym. W pierwszej chwili uwagę na siebie zwracało głębokie wgniecenie dziobu powyżej linii wodnej a poniżej pokładu, powstałe na skutek uderzenia w nabrzeże. Załoga składała się z kilku osób. Miejsc dodatkowych dla takich pasażerów jak my nie było. Kolejno pełniliśmy wachty morskie wraz z członkami załogi, a później kładliśmy się spać w akurat wolnych kojach. Wracający z wachty marynarz, widząc swoją koję zajętą przez smacznie śpiącego studenta, kładł się do innej, zwolnionej przez kogoś, kto właśnie objął wachtę. Po krótkim czasie nikt z załogi nie spał we własnej koi, chyba że przez szczęśliwy przypadek. Trzeba przy-

znać, że członkowie załogi znosili wszystkie spowodowane przez nas niewygody nad wyraz cierpliwie i z pełną dla nas życzliwością, z którą ja ich teraz też wspominam. Z jednym z nich, Tadeuszem P., będącym w naszym wieku, serdecznie zaprzyjaźniliśmy się i utrzymywaliśmy kontakty przez parę lat. Odwiedzał mnie, poznał mojego brata i razem chodziliśmy na zabawy. Czasami pomagałem mu w matematyce, bo uczył się na jakimś kursie zawodowym. Później podobno zaczął pływać na dłuższych liniach i nasze kontakty urwały się.

Na m.s. „Narew” odbyliśmy trzy lub cztery krótkie rejsy. Przypomniało mi się jedno zdarzenie z czasu postoju w Ustce. Nasz kapitan został zawiadomiony przez władze portu, że do odwołania obowiązuje zakaz opuszczania statku i zupełne zaciemnienie. Cały port także był zaciemniony. Siedzieliśmy w pomieszczeniu dziobowym i – rozmawiając na tematy wojskowe – w każdej chwili oczekiwaliśmy wybuchu trzeciej wojny światowej. Po kilku godzinach wszystko odwołano, ale o co wówczas chodziło, nie wiem do dziś. Może to były jakieś ćwiczenia wojskowe. Może kręcił się w pobliżu obcy okręt wojenny. Nie wiem.

Po zapoznaniu się ze statkiem i warunkami jego eksploatacji, zważywszy kłopoty sprawiane załodze statku, postanowiliśmy wcześniej zejść na ląd, przed upływem całego miesiąca. Armator poszedł nam na rękę i jeszcze z przysługujących nam 300 zł wypłacił każdemu z nas końcówkę w wysokości 75 zł na osobę, nie biorąc pod uwagę dopłaty do wyżywienia.

* * *

Przed otrzymaniem dyplomu inżynierskiego miałem więc za sobą praktyki okrętowe: remontową w Stoczni Gdyńskiej (przed studiami), a później przy budowie nowych statków w Stoczni Gdańskiej (na zakończenie studiów) oraz zaliczyłem sobie prawie miesiąc praktyki „pływającej”.

Łącznie prawie czternaście miesięcy różnego rodzaju praktyk okrętowych.

Stanowiły one doskonałe uzupełnienie wiedzy teoretycznej zdobytej podczas trzyletnich studiów pierwszego stopnia.

Miałem wówczas prawie dwadzieścia cztery lata.

*Tadeusz Witalewski
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

